

Wspomnienie zmierzchu

Dawno nie widziałem na scenie „Zmierzchu” Izaaka Babela. Teraz powracam z Torunia, gdzie sztukę tę wystawiła Krystyna Meissner i muszę wyznać, że pozostaję pod wrażeniem jej spektaklu.

Już „Kartoteką” i „Balladyną” zdradziła Meissnerówna, że mierzy wysoko. Teatr toruński, w zgodzie ze zobowiązaniem wobec patrona (Wilama Horzycy), nie ma być sceną z marginesu. I to się — odpukać — udaje; gdyby premiera „Zmierzchu” wypadła o dwa, trzy tygodnie wcześniej, spektakl mógłby stać się ozdobą repertuaru tegorocznych Warszawskich Spotkań Teatralnych.

Tradycja inscenizacyjna przypomina, że „Zmierzch” jest sztuką rodzajową i do tego smutną, nawet brutalną. Spektakl toruński dowodzi, że to nie jest cała prawda o tym świetnym dramacie, więcej, że rodzajowość wcale w nim nie jest najważniejsza. Owszem, liczy się, jest na swój sposób urzekająca, ale najważniejszy jest jednak tragizm, a właściwie fatalizm, zawarty w tej przejmującej opowieści o wielkim i mocnym człowieku Mendlu Krzyku, który musi przegrać. A musi przegrać nie dlatego, że takie jest prawo pokoleniowej zmiany warty, którą egzekwuje syn — Benia, ale ponieważ chciał przełamać mur, zamykający tę społeczność w odwiecznym, ciasnym tyglu.

Można się spierać o to, czy Babel miał rację w sensie historycznym, fatalizując obywatelską moc getta, ale w „Zmierzchu” prawda jest właśnie taka: Benio podnosi bunt przeciwko ojcu nie tylko dlatego, że ten jest tyranem i zbyt długo panuje, ale głównie dlatego, że stary chce się nagle wyrwać, że chce uciec z Mołdawanki i zacząć gdzieś daleko jakieś inne życie. Zamach stanu (jeśli można tak powiedzieć) Benia jest więc czymś w rodzaju konserwatywnej rewolucji i to pomimo pozorów — jakie się w takich przypadkach stwarza; tytułowy „Zmierzch” oznacza tedy nie tylko zmierzch władztwa starego Mendla, ale także zmierzchanie całego środowiska — siłą zatrzymanego przez Benię w starych granicach.

„Żyd, kiedy wsiądzie na konia, przestaje być Żydem” mówi powołany do dragonów

młody brat Benia, Lowka, ale właśnie tego Benia nie chce słyszeć: ściągnie z konia Lowkę i ściągnie z konia (marzeń) własnego ojca, zamknie się z nimi; na Mołdawance i będzie świętować zwycięstwo. A jakże jest naprawdę to zwycięstwo, wie tylko rabi Ben Zcharia, w tradycji teatralnej pokazywany jako uosobienie oportunistów i cynizm, tu zaś w toruńskim przedstawieniu, mądry filozof, który wie, że po dniu musi nastąpić wieczór.

W toruńskim spektaklu cała opowieść o wielkości upadku Mendla Krzyka toczy się na jednoczesnej scenie, w scenerii swobodnego „teatru światła” (scenografia Aleksandry Semenowicz), w półmroku, z którego wylaniają się stopniowo — w ostrym świetle — poszczególne stacje dramatu, w atmosferze przytłoczonej osobowością głównego bohatera.

Gra tę partię Mieczysław Banasik, ale słowo „gra” nie jest tu może najważniejsze. Ostatni raz widziałem tego aktora w roli Rogożyna w „Idiocie”, dziesięć lat temu. Potem zniknął, gdzieś się tułał, wreszcie osiadł na wsi i wraz z żoną zajął się hodowlą owiec. Dał się teraz skusić rolą Mendla, wrócił na scenę tylko dla tej roli. Jego sztuka jest darem natury; nie ma tu gry, nie ma „grepsów”. Postura i głos ogromne, indywidualność bardzo mocna, przytłaczająca. Każde słowo ma wagę i jest przerażająco prawdziwe. Takiego starego Mendla dotąd nie widziałem i wdzięczny jestem Krystynie Meissner, że go odnalazła i skłoniła do powrotu.

▲le jeszcze coś się stało w Toruniu: otóż tam w tym teatrze przecież nie największym, stworzył się zespół aktorski. Tak to przynajmniej widać z widowni, podczas spektakli. Znakomici obaj synowie (Idefons Stachowiak — cyniczny Benia i Maciej Dahms — marzyciel Lowka), wyborny szames Arie Lejb Jerzego Glińskiego, niby posłuszny, a zawzięty wozak Nikifor Wojciecha Szostaka, celny rabin Józefa Skwarka — doprawdy, trudno wymienić wszystkich, a chciałbym jeszcze co najmniej zanotować Tatianę Pawłowską — przejmującą Nechamę, żonę starego Mendla, bo innych już nie pomieszcze. Dyscyplina i harmonijność obrazu „Zmierzchu” urzeczywistnia się — poza walorami reżyserii i scenografii — dzięki wybornej, stonowanej (co nie znaczy, że pozbawionej barw) kreacji zespołu, który stał się instrumentem wrażliwym i precyzyjnym, dzięki muzyce Z. Karneckiego i kompozycji ruchowej Z. Kamińskiego. Rad jestem, że mogłem zobaczyć to przedstawienie; sądząc, że przez pośrednictwo „Teatru Rzeczypospolitej” uda się je pokazać także i w innych miastach kraju.

MICHAŁ MISIŃNY

Izaak Babel — „Zmierzch”. Przekład Jerzy Pomianowski; muzyka Zbigniew Karnecki; ruch sceniczny — Zygmunt Kamiński. Spektakl 8 marca 1987 r.